

JANDA WIELKA



FENOMENALNY TALENT, OGROMNA PRACOWITOŚĆ I NIEPRAWDOPODOBNA CHARYZMA. GRA, REŻYSERUJE, ŚPIEWA, PISZE. OD PIĘCIU LAT PROWADZI TEATR POLONIA. WIDZOWIE JĄ UWIELBIAJĄ, BO ZAWSZE JEST PRAWDZIWA: W DOMU, W TEATRZE, PRZED KAMERĄ. KOBIETĄ 20-LECIA W PLEBISCYCIE NASZYCH CZYTELNIKÓW ZOSTAŁA KRYSTYNA JANDA.

TEKST **IZA KOMENDOŁOWICZ** FOTOGRAFOWAŁ **FRANCESCO CARROZZINI**



„Jacek Kuroń powiedział
po moim debiucie:
jeszcze nie zaczęłaś,
a już jesteś w encyklopedii”.



*„Nigdy nie robiłam
nic na siłę,
na niczym też mi
aż tak nie zależało,
żeby poświęcić
temu życie
prywatne,
macierzyństwo,
przyjaźń”.*

Jeśli ktoś nigdy nie był w teatrze Polonia, trudno mu zrozumieć, na czym polega fenomen tego miejsca. Piątkowe popołudnie. W budynku przy Pięknej pojawiają się kilka minut przed spektaklem. „Boska” grana jest od prawie dwóch lat, teraz to już ponad setne przedstawienie. W holu tłumy. „Najpierw proszę państwa o bilety”, rozlega się głos. Wchodzi spora grupa, ale zostaje wciąż mnóstwo ludzi. To ci z wejściówkami. Żeby je zdobyć, trzeba czekać kilka godzin przed zamkniętymi kasami. Część osób ma poduszki, żeby było wygodniej siedzieć na schodach, na których po chwili nie ma już żadnego wolnego miejsca. „Czy warto aż tak się męczyć?”, zastanawiam się. Trzy godziny później wiem, że warto. Po kilku dniach jadę do podwarszawskiego Milanówka. Posesja otoczona wysokim murem. Za nim potężne stare drzewa, ale duża działka sprawia, że czuje się przestrzeń. Świeżo skoszony trawnik. Basen. I najważniejsze – dom o architekturze charakterystycznej dla okresu międzywojnia. Willa Zacisze jest znana, w każdym biuletynie o Milanówku można znaleźć jej zdjęcia. Po wojnie popadła w ruinę, do czasu, aż dwadzieścia lat temu kupili ją Krystyna Janda i Edward Kłosiński. Postanowili uratować zabytek. Przechodzę przez salon, jadalnię. Ciemne kolory ścian, masywne meble: komody, duży stół. Na ścianach obrazy, dyplomy, wszędzie mnóstwo bibelotów. Bo Krystyna Janda – przyzna mi potem – jest sentymentalna. Niczego nie wyrzuca, nie chowa. Siadamy na werandzie. Dużo światła, delikatne ażurowe meble. Aktorka zapala papierosa. Rozmowa trwa ponad trzy godziny. Przerywa ją kilka telefonów: że skończył się spektakl na placu Konstytucji (Krystyna Janda: „Zawsze dzwonią, żeby powiedzieć, jak było”), że trzeba ustalić szczegóły dotyczące remontu nowej sceny, jaka powstaje w warszawskim kinie Ochota.

BYŁAM

PRZEZ KILKA LAT BYŁAM WYCHOWYWANA PRZEZ DZIADKÓW. Moi rodzice, bardzo młodzi, byli zajęci ludźmi – studiowali i pracowali równocześnie. Tata, z zawodu inżynier, został wysłany do tworzącej się właśnie fabryki w Ursusie jako specjalista, mama pojechała za nim razem z moją młodszą, nowo narodzoną siostrą. Doszli do wniosku, że dwójką dzieci nie będą w stanie się zająć, więc ja – miałam wtedy dwa lata – zostałam w Starachowicach. W domku na końcu ulicy, pod lasem, spędziłam dzieciństwo. Spokojne, szczęśliwe, poukładane. Świat, który widziałam, był bardzo tradycyjny. Konfitury, wypieki, wyprawy na grzyby, popołudniowe herbatki i długie opowieści. Babcia z otwartymi ramionami witała gości, ciągle ktoś do nas wpadał. I wszyscy się mojej babci zwierzali. Ile ja się nasłuchiłam! Jakież relacje, problemy małżeńskie, radości. Dużo się wtedy dowiedziałam o zwyczajnym życiu. Myślę, że do dzisiaj portretuję ludzi, których wówczas spotkałam. Byłam jedynym dzieckiem w okolicy, wszyscy poświęcali mi dużo uwagi. Ciotka, która z nami mieszkała, przeczytała mi setki książek na głos. Zresztą w domu nie było telewizora. Słuchało się radia, i to tylko wtedy, gdy dziadek je włączył. Był głową domu, pracował w fabryce ciężarówek Star Starachowice, zarabiał, utrzymywał nas. Kiedy przychodził po pracy, czekał na niego obiad, potem kładł się odpocząć, a w domu musiała być cisza. Dziadek był bardzo szanowany, ale tak naprawdę babcia decydowała o wszystkim. Zresztą, jak wszystkie kobiety w mojej rodzinie, miała silną osobowość. Do szkoły podstawowej poszłam już w Ursusie. I wtedy zaczęło się klasyczne życie dziecka z kluczem na szyi.

SZKOŁA MUZYCZNA, FRANCUSKI, HISZPAŃSKI, TANIEC, RYSUNEK, ŻAGLE, KONIE Byłam kreatywnym dzieckiem, wszystkiego chciałam spróbować. Rodzice zapisywali mnie i siostrę na zajęcia dodatkowe, tyle że ona szybko rezygnowała, bo okazało się, że ma umysł ścisły, analityczny, a ja dalej szukałam. Po szkole podstawowej wybrałam liceum plastyczne. Oryginalność w sposobie myślenia, także w ubiorze, były tam w najwyższej cenie. Kiedyś poszłam do profesora od chemii i powiedziałam: „Dziś jest w DKF-ie »Szalony Piotruś« (kultowy film w reż. Jeana-Luca Godarta z 1965 r. – przyp. red.) i uważam, że jest to dla mnie ważniejsze niż chemia”. A on odpowiedział: „Masz rację” i zwolnił mnie z lekcji. Czy w jakiegokolwiek innej szkole w drugiej połowie lat 60. mogłoby się coś takiego zdarzyć? Kiedy wybuchła praska wiosna, kilka osób z mojej klasy pojechało tam natychmiast. Między innymi mój kolega z ławki Jurek Janiszewski, później autor tzw. solidarycy, czyli napisu SOLIDARNOŚĆ. W tamtym czasie poznałam też środowisko hippisowskie. Nie weszłam w nie zbyt głęboko, zawsze miałam nad sobą kontrolę, ale przyglądałam się, czego słuchają, jaką muzykę grają, co mówią. To już była totalna wolność. Długo uważałam, że malarstwo jest moim przeznaczeniem, w szkole teatralnej znalazłam się trochę przez przypadek. Koleżanka poprosiła mnie, żebym poszła z nią na konsultacje dla kandydatów. Czekałyśmy kilka godzin na korytarzu. Przed komisją wyraziłam oburzenie, że trwało to tak długo. Jeden z profesorów powiedział, że to ja, a nie moja koleżanka, powinnam zdawać na aktorstwo. Później dowiedziałam się, że to był profesor Aleksander Bardini.

OD POCZĄTKU CZUŁAM, ŻE WYBRAŁAM WŁAŚCIWIE, ŻE TO JEST MÓJ ŚWIAT. Zdumiewało mnie, że wszystko, co wymyślę i zrobię na szkolnej scenie, okazuje się odkrywcze i rodzi nadzieje w profesorach. Przecież byłam w tym środowisku kimś obcym, bez tradycji artystycznych w rodzinie, bez koneksji. Nie chodzi o to, że miałam jakąś wyjątkową łatwość grania, ale nie brakowało mi pomysłów i potrafiłam je ubrać w formę. Zbigniew Zapasiewicz powiedział: „Będiesz albo →

PRZYSTANEK JESTEM KRYSZYNA JANIA





JESTEM

„NIE WZIĘŁAM SIĘ ZNIKĄD. SUKCES TEATRU
POLONIA TO KONSEKWENCJA STAWANIA
CO WIECZÓR NA SCENIE. **JESTEM TYM, KIM JESTEM**
DZIĘKI PRAWIE CZTERDZIESTOLETNIJ PRACY,
ALE TEŻ LUDZIOM, KTÓRYCH SPOTKAŁAM”.

genialna, albo zostaniesz kompletnym zerem". Uczyło mnie wiele znakomitości: Tadeusz Łomnicki, Zbigniew Zapasiewicz, Andrzej Łapicki i Aleksander Bardini. Koniecznie muszę też wspomnieć o profesor Janinie Romanównie. Kiedy wychodziła na scenę i pokazywała, jak nosić suknię z trenem, to była czysta poezja. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że spotkanie damy z tak wielką klasą było dla mnie, młodziutkiej kobiety, najwartościowszym prezentem. Zachwycalam się Mikołajską, Mrozowską, ale to był zupełnie inny typ kobiet. Romanówna była wzruszająca, słaba i silna jednocześnie, była arcymistrzynią techniki aktorskiej. Mój rok był bardzo interesujący: Joasia Szczepkowska, Gabrysia Kownacka, Ewa Ziętek, Sławka Łozińska, nieżyjąca już Basia Winiarska. Kiedy w połowie lat 70. kończyłyśmy szkołę, sztuka miała zupełnie inne zadania. Dziś publiczność masowa – telewizyjna, nie chce trudnych tematów. Wtedy nie chodziło o to, by ją zadowolić, ale traktować poważniej i cenić wyżej niż siebie i swoje pomysły. Nieprawdą jest jednak, że młodym było wtedy łatwiej startować w zawodzie niż dziś. Produkcja filmowa jest teraz wielokrotnie większa niż kiedyś, więc propozycji jest też o wiele więcej. Cóż, są to przede wszystkim seriale, rzeczy, do których – delikatnie mówiąc – nie trzeba przeczytać żadnej książki. Nie chcę porównywać mojego studenckiego wykształcenia z obecną edukacją. My nie mieliśmy Internetu, nie wyjeżdżaliśmy na Zachód i walczyliśmy, żeby zdobyć zakazanego Gombrowicza. Oni są Europejczykami, wszystkie wiadomości mają na wyciągnięcie ręki, jeżdżą do Lee Strasberga do Nowego Jorku i uczą się od najlepszych. Niczego im nie zazdroścę. Każde pokolenie ma swój czas. Jest wśród nich wielu wspaniałych, tylko wymagania w stosunku do nich są jednak trochę inne, niż były w stosunku do nas.

BEŁĘ

„Mam 60 lat, prawie skończę za trzy lata, ale zawsze zaokrąglam wszystko do góry. Wydaje mi się, że nadal mam energię, której mogłabym użyć innym”.

NIEDAWNO KTOŚ MNIE ZAPYTAŁ, CZY SZTUKA MOŻE ZMIENIAĆ LUDZI.

Odpowiedziałam, że tak, jeśli przekaz trafi na swój czas, a społeczeństwo jest gotowe na zmiany. Tak się kiedyś stało w przypadku „Człowieka z marmuru” Andrzeja Wajdy. Miałam szczęście skorzystać z tego „momentu”. Myślę, że od tamtej pory (1976 r. – przyp. red.) nikt nie dostał takiej szansy. Jacek Kuroń powiedział po moim debiucie: „Jeszcze nie zaczęłaś, a już jesteś w encyklopedii”. Kiedy przystąpiliśmy do zdjęć, słabo znałam najnowszą historię Polski, nie rozumiałam, jak bolesny temat poruszył ten film. Dojrzywałam razem z Agnieszką, swoją bohaterką.

Cztery lata później, jak robiliśmy „Człowieka z żelaza”, byłam już świadoma i ukształtowana. Zdawałam sobie sprawę, jak wielka stawka jest w grze i jaka to odpowiedzialność, kiedy rola przekracza zwykłe granice uprawiania zawodu. Pozostałam jednak osobą zajęta sztuką, polityka nigdy mnie nie interesowała i tak jest do dzisiaj. Znów przytoczę słowa Jacka Kuronia: „Jesteś zbyt utalentowana, lepiej, żebyś grała rewolucjonistkę, niż nią była”. Jedną z ważniejszych była rola Antoniny Dziwisz w „Przesłuchaniu” Ryszarda Bugajskiego (1982 r. – przyp. red.). Film przez wiele lat był zakazany, ale ludzie oglądali go na nielegalnych kopiach. Legenda rosła. W latach 80. wiele propozycji odrzucałam. Nie grałam alkoholiczek, rozkapryszonych artystek z piórami w dupie. Andrzej (Wajda – przyp. red.) sugerował mi, że bym takich ról nie przyjmowała, i myślę, że miał rację. Stałam się symbolem nowego, silnego pokolenia, które nadchodzi, by dokonać zmian. Wraz z przemianami politycznymi zaczęło się zmieniać kino. Pamiętam, że taką przełomową rolą była dla mnie niekonwencjonalna mama w „Kochankach mojej mamy” Radosława Piwowarskiego (1985 r. – przyp. red.). To Andrzej Wajda przyszedł wtedy do mnie: „Słuchaj, jest dobry scenariusz, ładna historia, materiał na rolę matki alkoholizki. Myślę, że mogłabyś to zagrać”. Grałam dużo, także za granicą, w sumie zrobiłam około

10–15 filmów w Europie. Potem nie miałam propozycji, rodziło się kino komercyjne, bez ról dla aktorek w moim wieku. Zadowolona byłam na dobre w teatrze. Zostałam reżyserem, robiłam dużo dla telewizji, teatru, także na estradzie. Zaczęłam pisać. Do kina wróciłam ostatnio, razem z filmem „Parę osób, mały czas” Andrzeja Barańskiego i „Tatarakiem” Andrzeja Wajdy. Zresztą ostatnie lata to teatr Polonia. Teatr, z którym pewnie przejdę do encyklopedii tak naprawdę. Nigdy nie robiłam w zawodzie nic na siłę, na niczym też mi aż tak nie zależało, aby poświęcić temu życie prywatne, macierzyństwo czy nawet przyjaźni. Zawsze byłam aktorką świadomą, wiedziałam, dlaczego coś przyjmuję, a czegoś nie, dlaczego z jednym panem chcę pracować, a z innym nie. Mam z czasów młodości zakorzenione poczucie misji kultury i jej znaczenia.

GDYBY NIE PRZEŁOM '89, NIE BYŁOBY OCZYWIŚCIE TEATRU POLONIA. Tak naprawdę teatr powstał trochę ze złości, że od jakiegoś czasu jest wolna Polska, a ja nagle muszę się podporządkować gustom decydentów od kultury, którzy uważają, że coś wiedzą lepiej, że publiczność jest głupsza, niż mnie się wydaje. Przede wszystkim był buntem przeciw telewizji, w której czułam się jak petent. W teatrze miałam taką pozycję, że mogłam sobie pozwolić, żeby grać przez pół roku, a resztę czasu spędzać choćby w Italii. Mielismy z mężem wybrany już dom w ukochanej Toskanii. Wydawało się to dobrym rozwiązaniem, zważywszy, że mój mąż już od dłuższego czasu robił film za filmem w Niemczech, więc mieszkanie w Polsce stało się niekonieczne, a dzieci były już duże. I w pewnym momencie się wkurzyłam, pomyślałam, że jednak nie. Że zamienię marzenia o domu we Włoszech na teatr w Warszawie – to były dokładnie takie same pieniądze. Nie byłam optymistką. Wiedziałam, że zarobić się na tym nie da, założyłam z mężem i córką fundację, zostaliśmy fundatorami. Rodzina poparła bez reszty moje plany. Kiedy dziś o tym myślę, to stwierdzam, że w tamtej decyzji było wiele mojej beztroski, braku wyobraźni

i dziecięcego entuzjazmu. Za szybko wyobraziłam sobie spektakle, które gramy, a co ciekawe, nie widziałam siebie na scenie, chciałam, żeby występowali inni, młodzi ludzie. To były potworne lata. Upiorne i bardzo też szczęśliwe. Zająłam się przygotowaniem repertuaru, a mąż budową, remontem, na każdym kroku demonstrował wiarę w mój talent aktorski i reżyserski. Bez tej wiary w moje możliwości zawodowe i bez wsparcia bliskich umarłabym wielokrotnie ze strachu podczas nieprzespanych nocy. Nie miałam pojęcia, co nas czeka, ile razy dostaniemy po głowie. Ale od momentu, kiedy zaczęły się pierwsze próby, nic innego nie miało znaczenia. Byłam znowu u siebie, i to bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Teatr Polonia to mój największy



sukces w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ale też konsekwencja prawie czterdziestu lat nieustannej pracy, stawiania co wieczór na scenie, wyborów, których dokonywałam. Nie wzięłam się znikąd. Jestem tym, kim jestem, dzięki pracy, ale też ludziom, których spotkałam. W szkole teatralnej profesor Aleksander Bardini, gdy tylko potrzebowałam, odpowiadał na wszystkie moje pytania. Od kiedy poznałam Andrzeja Wajdę i zaczęłam z nim pracować, zyskałam przyjaciela na całe życie, potem wielu, wielu innych, reżyserów, producentów, kolegów aktorów, pisarzy, scenografów. Nigdy nie byłam sama. Jeszcze na studiach wyszłam za mąż za Andrzeja Seweryna, który miał doświadczenie i znał całe środowisko, a przez ostatnie trzydzieści lat mogłam liczyć zawsze, wszędzie i w każdej sprawie na mojego drugiego męża Edwarda Kłosińskiego. →

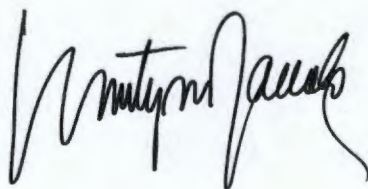
PAŹDZIERNIK '89 - NA FESTIWALU FILMOWYM W GOTTINIE MA JURY. NAGRODĘ PUBLICZNOŚCI I DZIENNIKARSKĄ DOSTAJE „PRZESŁUCHANIE” RYSZARDA BRĄGUSKIEGO.

MÓJ MAŻ MNIE SOBIE WYPATRZYŁ, WYCHODZIŁ. Na początku w ogóle nie miałam świadomości, że to może być taka historia. Byliśmy ze sobą już osiem lat, a ja jeszcze nie uważałam, że musi się skończyć małżeństwem. Często się rozstawaliśmy, bo on miesiącami pracował za granicą. Dzwoniłam do niego albo wsiadałam w samolot, żeby go zobaczyć, porozmawiać. W którymś momencie uświadomiłam sobie, że już w ogóle nie potrafię wyobrazić sobie życia bez niego. Rozmawialiśmy o literaturze, sztuce, architekturze. O planach zawodowych, o tym, jak najlepiej pokazać jakąś scenę, zobrazować uczucia. Pracował ze mną często, kiedy to byłam reżyserem. Wściekał się na mnie, schodził z planu, mówił, że to ostatni raz. Był fantastycznym operatorem, nieustannie dla mnie, dla naszych dzieci odrzucał propozycje zawodowe, i to takie, które naprawdę mogły zmienić jego karierę. Kiedy dzwoniłam, przerywał ujęcia. Powtarzał, że moje, nasze sprawy są ważniejsze niż wszystko – i ustalił tak od początku. Imponowały mi jego mądrość, nieprawdopodobna wręcz erudycja, spokój, odpowiedzialność, umiejętność wyciągania wniosków. Wiedział wszystko na każdy temat. Czasem, odpowiadając na moje pytanie, dorzucał: „Masz skandaliczne braki w wykształceniu”. Wydawało mi się, że inni mężczyźni też wszystko wiedzą, ale kiedy niektórych o coś pytałam, słyszałam: „A bo ja wiem? Zajrzyj sobie do encyklopedii”.

NIE WIEM, JAK WYGLĄDAŁOBY MOJE ŻYCIE, GDYBY NIE FUNDACJA, KTÓRĄ STWORZYLIŚMY, A CO ZA TYM IDZIE TEATR. To mnie uratowało. Od ponad półtora roku (5 stycznia 2008 r. zmarł Edward Kłosiński – przyp. red.) jestem kompletnie innym człowiekiem. Nie interesują mnie ani nowe miejsca, ani nowi ludzie, ani nowe rzeczy. Straciłam poczucie bezpieczeństwa. Wiem, że każdego dnia może zdarzyć się coś tragicznego, a ja nie będę miała na to wpływu. I co więcej, mam dziwne uczucie, że – niestety – coś się zdarzy wcześniej czy później. Robię plany, czytam, gram, mam w głowie repertuar na najbliższe trzy sezony. Czuję się odpowiedzialna za ludzi, z którymi pracuję, za ich rodziny. A prywatnie? To bardziej skomplikowane... Dzieci, żeby jakoś „wybiły się” na szczęśliwe życie. Oni wszyscy jeszcze poszukują. Moi synowie są kompletnie różni. Adam jest introwertykiem, ma żelazny charakter, jak sobie coś postanowi, nic go nie może od tego odwieść. Jędrzek jest bardzo otwarty. Obaj są mocno ze mną związani w taki sposób, w jaki matka może sobie tylko wymarzyć.

WIEM, KIM JESTEM, NA CO MNIE STAĆ, A NA CO NIE. Są rzeczy, których się ludzie po mnie spodziewają, do których mnie namawiają, a ja ich nie robię. Nie muszę nikogo do siebie przekonywać, niczego udowadniać. Mój teatr zawsze będzie przyjacielem widza, rozmówcą, jednak nie będzie wyznaczał nowych światów, bo nie to mnie interesuje. Ale nasza druga scena – Och-Teatr w kinie Ochota – do której otwarcia staram się doprowadzić, będzie jednak trochę inna, powiedzmy: mniej konwencjonalna. Chciałabym tam robić tytuły poruszające drastyczne tematy, opowiadać o problemach w mniej tradycyjny sposób. Nowy teatr to klasyczna ucieczka do przodu, dzięki niemu będziemy mogli spokojniej myśleć o przyszłości. Teatr Polonia ma się świetnie, ale publiczność żąda od nas sztuk coraz bogatszych, z rozbudowaną scenografią, wieloobsadowych. W najnowszej „Bagdad Cafe” (premiera 26 września – przyp. red.) wchodzi na scenę szesnaście osób, a to kosztuje.

WCIAŻ GRAM DLA PRZYJEMNOŚCI, REŻYSERUJĘ DLA PRZYJEMNOŚCI. Wszyscy uważają się: „Jaka pani musi być zmęczona”, a ja jakoś w ogóle tego nie czuję. Szczerze mówiąc, w ogóle mnie to nie męczy. Gram osoby starsze ode mnie, zawsze to lubiłam, najlepiej kogoś w szlafroku i piżamach, nieumalowana – bo tak wygodniej. Jak muszę pokazać się gdzieś oficjalnie, wystroić, to jest to dla mnie kłopot, jakaś nieprzyjemność. Podziwiam tych wszystkich bywalców tzw. balów perfum. Za każdym razem trzeba się wykreować zupełnie po nic. To jest potwornie uciążliwe, a poza tym pracochłonne. Mam prawie 60 lat. Prawie – skończę za trzy lata, ale zawsze zaokrąglam wszystko do góry. Uważam, że jestem stara, jak patrzę na swoją aktywność sprzed kilku lat, zmiana jest duża. Nie tylko fizycznie, także psychicznie. Ale wydaje mi się, że nadal mam energię, której mogłabym użyć innym. Szczególnie młodemu. Jasne, że są rzeczy, za które sama się na siebie wkurzam, ale właściwie nie chciałabym się zmienić.



KRYSZYNA JANDA – debiutowała w wieku 24 lat u Andrzeja Wajdy w „Człowieku z marmuru”. Od tamtej pory zagrała kilkadziesiąt ról filmowych i teatralnych, z których wiele uznano za wybitne kreacje. Za „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego została nagrodzona na festiwalu w Cannes w 1990 roku. Śpiewa piosenkę aktorską (słynna „Biała bluzka” do słów Agnieszki Osieckiej i „W malinowym chruśniku” w duecie z Markiem Grechutą), od kilkunastu lat z powodzeniem reżyseruje. Ceniona przez krytyków, podziwiana i kochana przez publiczność, z którą ma doskonały kontakt. W 2005 roku za własne pieniądze razem z mężem Edwardem Kłosińskim założyła prywatny teatr. Dziś Polonia jest jedną z najpopularniejszych warszawskich scen. Ma dorosłą córkę Marię (z pierwszego małżeństwa z Andrzejem Sewerynem), dwóch synów: 20-letniego Adama, studenta wydziału operatorskiego, i 19-letniego Jędrka, przyszłorocznego maturzystę, oraz dwie wnuczki: 12-letnią Lenę i 4-letnią Jadzię. Mieszka w podwarszawskim Milanówku.

Fot. Francesco Carrazzini/Marek & Associates, stylizacja Agnieszka Ścibior, makijaż Gonia Wieloch/Helena Rubinstein (podkład Face Sculptor nr 20, Wanted Eyes Duo nr 48, Glorious Mascara nr 01, Wanted Elvix Lipstick nr 211), fryzury Robert Kupisz/L'Oréal Professionnel (Shine Blonde L'Oréal Professionnel – szampon odbijający włosy blond, pasemka i balaję, Infinitum L'Oréal Professionnel – lakier utrwalający, Crystal Gloss L'Oréal Professionnel – mgiełka nabyszczająca w sprayu. Produkty i usługi L'Oréal Professionnel dostępne wyłącznie w salonach fryzjerskich), asystent fotografa Cy Karat, asystentka stylistki Witolsława Onyszkiewicz-Dembinska, produkcja Sara Marcyjak. Specjalne podziękowania dla Hotel Le Meridien Bristol (www.lemeridien.pl, Krakowskie Przedmieście 42/44 00-325 Warszawa, Polska, +48 22 55 11 000). Krystyna Janda ubrana w golf Sportmax, spódnicę Zara, portkiocy Wolford i buty Pollini; w plaszcz Tomasz Ossoliński i okulary przeciwsłoneczne Ray-Ban/Optyk Trzaska oraz w plaszcz MadoMara. Adresy sklepów na stronie 227